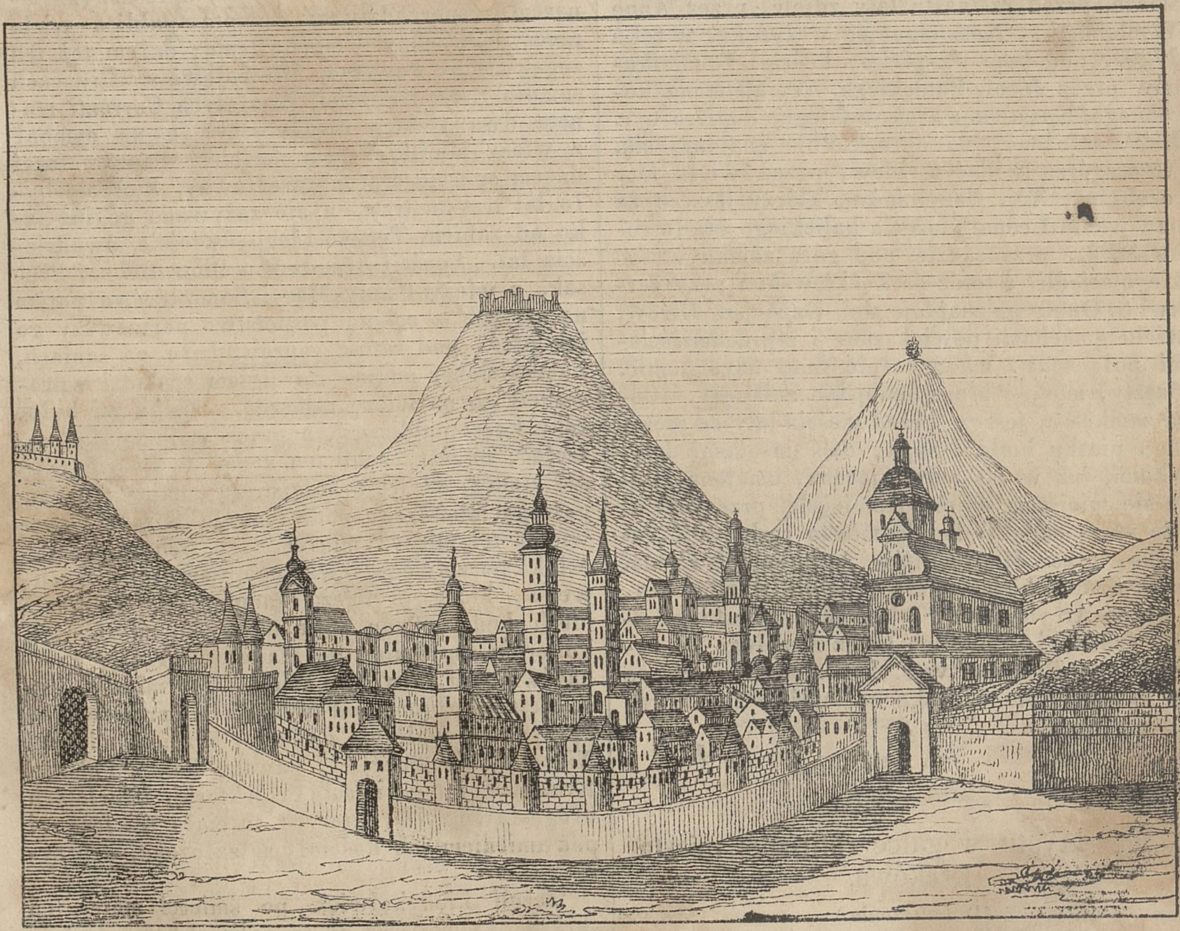
Nr. 18. Rok 13.

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 2. Maja 1846.



Wyobrażenie Lwowa przed rokiem 1731.,
umieszczone al fresco w klasztorze Xięży Dominikanów w Jarosławiu.

Lwów.

Braciszek Minorytów Joachimus Ornanus, malując w r. 1731. kościół Panny Maryi w Jarosławiu, umieścił w kurytarzu historyą przeniesienia podczas nieprzyjacielskich napadów cudownego obrazu, z któréj przerysowane jest niniejsze wyobrażenie miasta Lwowa. Że to jest kopia rysunku daleko dawniejszego, okazuje wieża ratuszna, na obrazku czworokątna, lubo, jak wiadomo, przez Marcina Kampiana już w roku 1616. na ośmioboczną przeistoczoną została. Nie ma także pięknéj okrągłéj wieży XX. Bernardynów; a kościół ten z ciosowego kamienia po zwycięstwie Zygmunta III. nad Moskalami, ze składek wracającego wojska był dokończony, i już w roku 1630. poświęcony. Gdy jednak ukończony w tym samym czasie kościół XX. Jezuitów z wieżą po 1830 roku zniesioną już istnieje, wnosić należy, że wieża bernardyńska późniéj dobudowaną została. Kościół Trynitarzy, czyli dzisiejsza biblioteka akademiczna, przy którym znajdowały się dwie wieże, przed piętnastu laty zdjęte, przez Annę Wielohurską, Kasztelanowę wołyńską, w roku 1729., podobnie też piękny kościół Dominikanów przez Józefa Potockiego, W. Hetmana koronnego, Kasztelana krakowskiego, dopiéro w r. 1749. założony, na obrazku nie znajdują się. Na wzgórzu widać cerkiew, przed wielu laty rozebraną, XX. Bazylianów, którzy jeszcze za panowania Leona Xiążęcia halickiego około roku 1292., przy sadzie pod górą zamku wysokiego osiedli, a teraz na Żołkiewskim przy cerkwi Ś. Onufrego znajdują się. Dzisiejszy Lwów, wielu gmachami powiększony i z przedmieściami połączony, ma zupełnie inną fizyognomię. Baszty, mury i bramy miejskie zniknęły. Góra zamkowa, jeszcze przed sześciu laty od szczerego piasku biała i naga, dziś młodemi drzewkami, już w las porastającemi, umajona, stała się miejscem najprzyjemniejszéj przechadzki. Nie mało ozdoby dodają miastu cerkiew Ś. Jerzego, przez Metropolitów Atanazego i Leona, braci Szeptyckich, około r. 1746. zbudowana, i pałac Arcybiskupów obrządku łacińskiego obok fundacyi Sobieskich przez zmarłego X. Arcybiskupa Piszteka w r. 1844. postawiony, co na dawniejszym rysunku oczywiście znajdować się nie może.

L. K.

Kopia skryptu w gałce ratusznéj miasta Krakowa.

(Dokończenie.)

Dotknął też Pan Bog to miasto anno 1677. powietrzem morowym, ktore w tym mieście lat 4 grassowało, umarło ludzi w tym mieście i cyrkumferencyach iego 21,572 komputuiąc i Żydow. Biskup krakowski Andrzey Trzebicki, i Kapituła krakowska, wielkie dobrodzieistwa na sustentament tych strawionych ludzi wyświadczali. Mnie, Jana Gaudentego Zacherle, Magistrat uprosił, ażebym temi ludźmi zawiadował, i rząd w mieście, quo ad Securitatem pestis, trzymał. Miałem od Krola JMci uniwersały, aby mnie w Krakowie, w Kazimierzu, w Kleparzu, i po wszystkich Jurysdykcyiach z tei i z tamtei strony Wisły słuchali. Jmć X. Biskup w kościołach przykazał, żeby nikogo bez moiei attestacyi i rewizyi nie chowano. I kędykolwiekby się, na mieiscach duchownych lub klasztorach powietrze pokazało, zdał mi zupełną iurysdykcyią postępować sobie, iakobym nailepiei rozumiał. Służyłem tedy ludziom według moiei możności, i Pan Bog dziwnym sposobem mnie i domowych moich, mowię, dziwnym sposobem, od tei zarazy zachował, lubom siła razy był w niebezpieczeństwie, i ktokolwiek tym ludziom bez interesu służył, każdego Pan Bog zachował. Bywszy tedy u Magistratu iuż to na rok piąty, uproszonym Lunarem, sporządziwszy sumptu publico wiele rzeczy potrzebnych miastu temu; dałem też ten zegar zrobić Pawłowi Mieczalowi w Gliwicach sumptu Errarii Publici, za złotych Currenti moneta dwa tysiące dziewięćset, a na cymbał z wieży mieiskiei przy kościele Panny Maryi dałem spuścić dzwon gwałtowny, ktoremu było lat trzysta trzy, a nie zażywano go iuż iako od zabicia Tęczyńskiego dwieście dwadzieścia lat. Spuścił ten dzwon Piotr Beber, Prusak, z wieży Panny Maryi Samotrzeć, a potym na saniach z ochotą pospolstwo porwawszy go iak pioro pod ratusz zaprowadziło na saniach, i tenże Beber znowu z troigiem czeladzi wprowadził go na wieżę ratuszną. Żalby mi było, żeby koszt publiczny, a praca moia miała zniszczeć, to iest, żeby ten zegar w koncie rdza nie ziadła, za wolą Magistratu sumptem z czopowego mieiskiego podiąłem się dozoru postawienia tei wieży; miałem tego Bebera, cieślę, człeka poczciwego, trzeźwego, wiernego i życzliwego, ktory tę wieżą buduie. Co wszystko niech będzie Panu Bogu na cześć, na chwałę. Pokornie suplikuiąc do Maiestatu Troice Przenayświętszei, aby i tę wieżą, i to miasto, i to Krolestwo, bronił od wszelakiei przeciwności i przygody, suplikuię do Panny Przenayświętszei Niepokalanie Poczętei, zawsze Panny Polskiei Krolowei, i tego miasta Protektorki, i Świętych błogosławionych, ktorych tu ciała też leżą, i pod imieniem ich kościoły są założone, o przyczynę.

Jeżeli kiedykolwiek po śmierci moiei ten skrypt, który teraz w tę gałkę kładę, będzie czytany, proszę za duszę mnie grzesznego o iedno do Pana Boga westchnienie. Proszę szlachetnego i prześwietnego Magistratu, także całei Rzeczypospolitei miasta tego, aby na potom-

ki moie, ieżeli się na ten czas znaydować będą, byli łaskawi. Gdyż miastu temu stołecznemu, szczérze, wiernie i życzliwie służą, iuż to rok dwudziesty szosty, nie ziakiei prywaty albo respektu, ale z samei miłości przeciwko mnie miłei i kochanei oyczyznie, miastu temu stołecznemu, kościołowi P. Nayświętszei, z woli Magistratu, iestem niegodny sługą i prowizorem rok piąty. Dał mi Pan Bog synow dwoch: Jacka Gaudentego, i Gaudentego Stanisława; synowcow: Jana, Mikołaia, Sebastyana, Krysztofa, Antoniego, Dyionizego. W kłopotach, turbacyiach, pracach i w zdrowiu słabym, z woli Pana Boga moiego, pędzę życia moiego rok czterdziesty piąty, znałem i znam zawsze nademną grzesznym miłosierdzie i wielką łaskę Bożą za co niechai Pan Bog w Troycy Świętei iedyny będzie na wieki błogosławiony. Datum w Krakowie, w kamienicy kochanych rodzicow moich, na rogu po prawei ręce wchodząc w ulicę Jana Świętego z rynku. Roku Pańskiego 1684. Dnia dwudziestego wtorego Grudnia.

Jan Gaudenty Zacherla, R. K.
Prowizor kościoła Nayświętszei Panny w rynku krakowskim, i Lonar krakowski.

Ten skrypt był pisany, i iest, na prawdziwym tureckim papierze pod Wiedniem w obozie zdobytym od iednego Obersztera mnie darowany.

Kopia tego przepisu 1783go roku spisana, odemnie Franciszka Kuderskiego przekopiowana i znowu powtornie odemnie roku 1789.

J. P. mp.

Mazurzy.

Nazwisko Mazurów i prowincyi Mazowsza odnosi się do najdawniejszéj przeszłości. Naród ten zamieszkuje okolice Płocka, Warszawy i Rawy. Mazury mówią dialektem, który nie jest czystym językiem polskim, połykają wiele liter, czasami nawet całe syllaby, co jest przyczyną przysłowia polskiego: „Mówi jak Mazur.“ Ich taniec, który nazywają Mazurkiem, znany jest w całéj Polsce i za granicą. Mazurzy są silnie zbudowani; z wesołém usposobieniem łączą chęć do pracy, odwagę i waleczność. Będąc doskonałymi strzelcami, zawsze byli przyzwyczajeni od najdawniejszych czasów nosić na ramionach strzelbę do polowania, lecz nakaz rządu zabrania im użytku téj broni. Lubią żyć w lasach, które nazywają swymi dobrodziejami, i przyznać trzeba, iż lasy w istocie są dobrodziejstwem dla chłopów polskich. Kiedy nieprzyjaciel zburzy ich wsie, zrabuje dobra, uciemięża mieszkańców, gdy ich pędzi w niewolę; starcy i kobiety ze swemi dziećmi zabierają co mają najdroższego i najkosztowniejszego w lasy, gdzie znajdują schronienie; osłabieni głodem i zimnem, pozbawieni wszelkich środków, unoszą z boru swego pana kilka sztuk drzewa do palenia lub budowli, bo nic nie posiadają; przedają je Żydowi któremukolwiek, ażeby zakupić soli i chleba, i opędzić pierwszą potrzebę życia, a reszty drzewa używają, ażeby się ogrzać. Lubo są bardzo bogobojni, nie uważają téj kradzieży za grzech, tłumacząc się swoją biedą, która ich zmusza poszukać sobie potrzebnych rzeczy do życia. „Marysia,“ mówi zwyczajnie Mazur do swéj żony, gdy powraca z chlebem i solą, „prawda, iż te zapasy zakupiłem drzewem mego pana; lecz zapewne mi to Pan Bóg nie policzy za grzech i dla tego możemy spać spokojnie; bór nie był zamknięty, to ziemia Mazurów, a ja jestem prawdziwszym Mazurem, niech mi to Bóg przebaczy, niż ten Ciarach.“

Te słowa dowodzą, jakie wyobrażenie mają chłopi polscy o własności swego pana. Lubo szanują prawa własności tego, u którego są w służbie, nie mogą się jednak uchronić od przykrego uczucia, gdy w chwili nieszczęścia przychodzi im na myśl, iż ta obszerna ziemia, zamieszkała przez ich ojców, jest od tak dawnych wieków w ręku kilku ludzi.

W dni świąteczne noszą chłopi Mazowsza sukmanę niebieską, która dochodzi do kolan, z wyłogami i sznurkami koloru amarantowego; spodem mają kamzelę z sukna niebieskiego lub zielonego, obszytą na przodku aksamitem czarnym lub białym. Spodnie są zawsze z płótna w paski, a naokoło ciała noszą pas czerwony lub żółty. W dnie robotne noszą sukmanę białą, czarną lub szarą; koszula spada na spodnie i nogi są bose. Czapki niskie i w różnych kolorach są obszyte barankiem; latem noszą kapelusz słomiany, lub z wełny białéj, lub szaréj, zwyczajnego kształtu.

Kobiety noszą spodnicę w różnych kolorach, fartuch w kwiatki lub w paski, gorset koloru jasnego, kaftan niebieski lub zielony; reszta ubioru podobna krakowskiemu.

Gdy młody Mazur ma chęć ożenienia się, udaje się sam do ojca ulubionéj, i odzywa się do niego w te słowa: „Mój ojcze, dajcie mi waszę córkę za żonę; bardzo mi się podoba, zarazbym chciał kazać się zapowiadać w kościele; lecz się zdecydujecie; bo jeżeli mi odmówicie waszą córkę, będę przymuszony szukać sobie innéj.“

W dzień zmowin udaje się zalotnik w towarzystwie przyjaciół i muzyki, która się składa z kilku skrzypcy i gra mazurka, do swéj narzeczonéj. Po zwyczajnych pozdrowieniach mówca stawa przed przyszłymi małżonkami, odmawia oracyą wierszem i przyozdabia ich głowy wieńcami z kwiatów. Pierwsza druchna, która zawsze jest przy boku młodéj panny, wyjmuje z jéj wieńca kilka kwiatów, z któ-

rych kładzie sobie kilka za gorset, a resztę podziela pomiędzy przytomnych. Gdy jeden z druchów również rozdał kwiaty z wieńca młodego pana, siada młoda panna na dzierzce, gdzie odbiera wszelkie posługi od swoich towarzyszek, które plotąc po raz ostatni jéj warkocz, śpiewają stósownie do téj okoliczności.

Po skończonym śpiewie uwieńczają młode dziewczęta głowę narzeczonéj, która przed wyjechaniem do kościoła rzuca się do nóg swych rodziców, aby odebrać błogosławieństwo. Młodzi parobcy wsiadają na konie, a młody pan przodem; za nimi ciągnie się wóz, na którym się znajduje narzeczona z młodemi dziewczętami; rodzice i przyjaciele jadą za nimi; muzyka gra piosnki narodowe, a gdy przestaje, śpiewają młode dziewczęta.

Gdy pochód powraca z kościoła i już jest na pół drogi, pierwszy drużba popędza swego konia, biegnie galopem do domu, porywa chleb i wraca do swoich. Po tém przybliżywszy się, z chlebem w ręku, do wszystkich wozów, zaprasza gości do rodziców narzeczonéj.

Po przybyciu do domu wchodzą rodzice, osoby najstarsze obojéj płci i muzyka do domu, tymczasem młode dziewczęta i parobcy stawają przededrzwiami, otaczają młodych małżonków i śpiewają w ten sposób: „O rodzice! Bóg wam dał za córkę ładną i dobrą Marysię; a dzisiaj daje waszéj córce ładnego i uczciwego chłopca za męża; Bóg im już pobłogosławił w kościele, przyjmiéjcie ich teraz w imię Boskie do waszego domu.“

Rodzice wychodzą przed dom, a podawszy młodéj parze chleb i sól, proszą ich, aby weszli do mieszkania z wszystkimi przytomnymi. Śniadają i tańczą aż do południa; potém jedzą obiad. Przed zapoczęciem pierwszéj potrawy, gospodyni domu pije za zdrowie młodéj mężatki; całe towarzystwo uderza pięścią o stół, i woła: „Niech żyje młoda mężatka!“ Potém pije ona za zdrowie swego męża, a za jéj przykładem idą wszyscy goście, którzy chwytają za kieliszki i wychylają je, winszując sobie po przyjacielsku. Groch, pasternak i flaki, są trzy potrawy niezbędne przy téj uczcie. Przed zaczęciem jadła śpiewają goście piosnkę stósowną do potrawy, którą im dano, i tony muzyki, pomieszane z głosami mowy, dodają nowego powabu uroczystości.

Po uczcie oczepia jedna z najstarszych kobiet, przyjaciółka familii, młodą mężatkę. Skoro ta rzecz swoję skończyła, przybliża się pierwszy druch do młodéj mężatki zdejmuje jéj czepiec, i kładzie natomiast swoją czapkę, mówiąc: „Ten czepiec jest nadto ciasny; niewygodnym ci jest, moja czapka będzie ci lepszą.“ Natenczas przybliża się pierwsza druchna, bierze czapkę, oddaje ją właścicielowi, a młoda mężatka odbiera z jéj ręki czepiec, który jéj był wsadzony; lecz drugi druch znów go bierze i pokrywa swoją czapką głowę młodéj mężatki, powtarzając jéj słowa pierwszego drucha. Ta scena, która bardzo przytomnych bawi, nie ustaje, aż wszyscy tę samą rolę odegrali. Gdy czepiec przeszedł już przez wszystkie ręce, kobieta najstarsza znów go kładzie na głowę młodéj mężatki, i w ten sposób kończą się oczepiny; poczém młode dziewczęta śpiewają piosnkę przy téj sposobności zwyczajną.

Po téj ceremonii daje każdy z przytomnych jaki podarek młodéj parze, a wesele trwa póki się młode .małżeństwo nie uda do swego mieszkania.

Leon Haber.

W Warszawie roku 1829. mieszkała u Kapitanowéj Banickiéj, młoda śliczna sierota. Jéj kibić była smukłą jak topola, wiotką jak osika, jéj lice to pyłek róży na tle jazminowém, a oczy to nasze ranne wiośniane słońce za rąbkiem mgły majowéj.

Kapitanowa kończyła rok 45ty, była wdową, Kalwinką, szeptała pacierze, należała do redakcyi zbiorowego pisma plotek miejskich, ciągnęła pasyanse, wykładała kabały i zażywała tabakę. Kobieta ta miała córkę, pięcioletnią dziewczynkę, złe, rozpieszczone dziecko.

Emilia, bo tak było na imię sierocie, bawiła się z dzieckiem, z cackami, weseliła się lada fraszką, zanosiła się od śmiechu, zwyczajnie dziewczyna; to znowu krwawo zarabiała na kawałek chleba, często koło północy jasne oczka przyćmiła nad igiełką przy ciemnéj szabasówce. I posępniała czasami, i gorzko i rzewnie sobie zapłakała, zwyczajnie sierota.

Do liceum warszawskiego uczęszczał w 1829 roku Żyd Leon Haber. Nie zamknięty w sobie jak jego współwyznawcy, ale lgnący do każdego. Serce mający i w oku i w ustach, a w sercu przyjaźń. Jego koledzy słyszeli w domu, że Ewa skusiła Adama, i bili pierwszą, którą napotkali, Ewę. Słyszeli, że Żydzi ukrzyżowali Boga człowieka; bili zatem i nienawidzili Żydów. A przecież psotni malcy nie śmieli zaczepić Leona, a nawet nie jeden żartowniś, drwiący z innych Żydków, spuszczał oczy, gdy spotkał jego wejrzenie, i stawał zapyrzony jak gdyby młody filut złapany na gorącym uczynku; przycinek konał mu w gardle, szyderczy uśmiech zastygał na ustach. I wszyscy lubiliśmy Leona. Bo sercem, odwagą, szlachetnością był nasz, mówił jak wszyscy tamtejsi Żydzi dobrze po polsku, a czuł i myślał tak jak my. Pochodzeniem, pokrewieństwem i wyznaniem, był połączony z Żydami. Szanowaliśmy jego ujmowanie się za nieszczęśliwymi towarzyszami tych smutnych losów, które ich tak długo na uwięzi trzymają, przez jakieś dziwne niezrozumienie własnego stanowiska.

W téj ładnéj nieszczęśliwéj Emilii, poko-



Mazurzy.

chał się ten poczciwy, równie nieszczęśliwy Leon. Że się pokochać mogli — o! to mi zapewne przyznacie. Ona świeża i piękna jak ideał kochanka wymarzony gorącą piersią w pierwszém przeczuciu miłości. A jéj uczucie to było światło słońca, rozsnute dziewiczemi wdzięki w barwy tęczowe, a te barwy, jasne, żywe, lśniące, wabiły oko, nęciły zmysły, zachwycały duszę, bo przebijało się w nich tło niezatarte, pierwotnéj śnieżnéj jasności. Jéj głos w melodyjnych odmianach, odpowiadających obfitemu zdrojowi jéj uczuć, przypominał jakieś czarowne dźwięki, wymarzone, wypieszczone w lepszych może światach, albo podsłuchane w szmerze nadwiślańskiéj kępy, w jęku słowika na Maciejowickiéj błoni, i szczebiotaniu skowronka, zwiastuna lepszéj przyszłości.

Leona znowu ognisty charakter skąpał się w gorzkiéj toni smutnych doświadczeń melancholijnych rozmyślań. Jego twarz i głos, i mowa i życie, nacechowały się tém dwojakiém piętnem, szlachetności i nieszczęścia. Można było poznać z jego wzroku, wyższe cierpienie, które niewinnie ponosił; a taki stan duszy musi wzniecić współczucie w każdém czułém sercu, a tém więcéj w sercu, co także zakosztowało z kielicha goryczy. Nieszczęście lgnie nawzajem do siebie, jak dwa statki z potrzaskanemi masztami nadwątlonemi stéry łączą się do niebezpiecznéj żeglugi. Leon wszedł w dom Kapitanowéj Banickiéj jako nauczyciel jéj pięcioletniéj córeczki. Koledzy, którzy mu tę lekcyę nastręczyli, nie wspominali o jego wyznaniu. On sam nie kwapił się z rozmową o tym przedmiocie. Emilia była u Kapitanowéj już lat 9. Sześcioletnią dziewczynką dostała się do niéj, do delikatnéj hafciarskiéj roboty. Kapitanowa polubiła sierotę, i zatrzymała u siebie. Postępowała z nią z całą uprzejmością i delikatnością dobréj wykształconéj osoby, a jednak sierota często musiała gorzko zapłakać. Nie jedno bez rozwagi wyrzeczone słówko przypominało jéj okropne położenie, w którém się znajduje; to znowu grymasy Panny Kapitanówny zatruwały na długo jéj spokojność.

Leon przy pierwszém widzeniu odgadnął smutek Emilii i tegóż przyczynę. Polubił ją, jako siostrę spokrewnioną całém pasmem przeszłych życia kolei i widokami smutnéj przyszłości; pokochał ją, jako jedyną istotę, co go będzie mogła zrozumieć i pojąć. Ich zbliżenie było bardzo prędkie, nie wiele godzin z sobą rozmawiali, a już czytali sobie nawzajem w głębi duszy, już im dość było jednego spojrzenia, ażeby sobie cały zwój myśli udzielić. Zrażony przesądami świata, zawiedziony stokrotnie w uczuciu przyjaźni, czerpał Leon z oczu Emilii zdrój rozkoszy, osłodę poniesionych zmartwień, pokrzepienie do nowéj walki ze światem do nowego życia. Ona oddychała wolniéj, swobodnie przy jego boku; czuła, że nie jest samą jedną na tym świecie. Poznała duszę bratnią, co potęgą swego uczucia, miłość matki i ojca i rodziny zastąpić jéj zdoła. A jak mgła się rozpływa przed zorzą gońcem latowego słońca, tak mniejsze frasunki, co dawniéj gorzkiemi łzami zalewały jéj oczęta, rozpierzchały się na samą myśl o Leonie. Czasami tylko zadrzał Leon, gdy Emilia tuliła się do jego boku, bo przypomniał sobie tę całą przepaść, co go od niéj dzieli; wiedział, że ich miłość nigdy z sfery platonicznéj wyjść nie będzie mogła, bo wiedział, że sam jest Żydem, a o niéj myślał, że jest Chrześcianką. Czasami tylko gdy gorący oddech kochanka, zwabiony wonném tchnieniem Emilii, za nadto z bliska jéj różane usteczka owionął, gdy ich usta w szale zapomnienia ognistym miały się skleić pocałunkiem, jak oparzona wyrywała się dziewica z objęć kochanka i wylewała łzy rzewne, i jak dziecko zanosiła się od płaczu. Bo wiedziała, że mu nigdy niczém inszém nie będzie jak siostrą, myślała bowiem, że on Katolikiem, a o sobie jakąś głęboką ukrywała tajemnicę. Całe dnie następne bardzo lakonicznemi bywały ich rozmowy, ale potém, ulegali nieprzezwyciężonemu pociągowi. I mogłoż być inaczéj? Oni byli sobie wszystkiem: krewnymi, rodziną, wspomnieniem nieszczęść, tęczą nadziei, wszystkie uczucia czerpali nawzajem ze swego łona, wszystkie aż do najświętszego, do miłości ojczyzny. Świat bowiem zimny, świat przesądny, i tego im odmawiał. W częstych rozmowach, krwi chciwa zemsta młodzieńca, topniała w łagodnem uczuciu dziewicy, przybierała wznioślejsze zarysy, idealniejsze kształty. On znowu zapalał jéj szlachetne serce koniecznością ofiar, wzniosłością poświęcenia. Tajemnicę, tak im na duszy ciążącą, tysiąc kroć razy chcieli sobie wyjawić. Nie raz Leon przygotowywał dziewicę, że jéj ma coś ważnego, smutnego powiedzieć, ale gdy spojrzał w jéj zasmuconą twarzyczkę, w jéj łzami zabiegłe źrenice, słowa marły mu na ustach, myśli jadem żmij wracały do serca. Często i dziewczyna patrzała długo w oczy kochanka, jak gdyby jego widokiem na całą wieczność nasycić się chciała. Biedna ona nie wiedziała, że kto się puszcza w noc bezgwiezdną, ciemną, niech do światła łuny oka nie zwyczai. Im bardziéj pierwéj lśniła jasność, tém czarniejszą wyda mu się przyszła ciemność.

I tak żyli z dnia na dzień z miłością w sercu, a na sercu z tajemnicą okropną, bo też miłość zabijającą. I odkładali wyznanie, które, jak mniemali, rozdzielić ich miało dopóty, aż nieprzezwyciężone wypadki położyły między niemi przepaść istotną, nieprzebytą, wieczną.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Klechdy ludu polskiego w Szląsku.

(Ciąg dalszy.)

XVII.

Paprzyca.

Pewien król był tak nieszczęśliwy, że żadnego dziecka dochować się nie mógł, bo mu każde umarło. Na ostatku miał dwóch synów, którzy już po kilka lat liczyli, i ochmistrzów swoich mieli; młodszy uczył się daleko lepiéj i pilniéj jak starszy. Razu jednego przyszedł czarnoksiężnik w postaci dziadka, proszącego o jałmużnę; król posłał mu pieniędzy, lecz dziadek ich nie przyjął; posłał mu zaś chleba, ale i tego dziadek niechciał; wyszedł tedy sam król do niego i pytał czegoby żądał? — Dziadek rzekł: „Masz dwóch królewiczów, daj mi jednego, jeżeli niechcesz, aby ci obu śmierć zabrała.“ — Król oznajmił to żonie swojéj, a ona rzekła: „Jużeśmy tyle rzeczy pogrzebli, mielibyśmy i tych obu utracić? lepiéj dajmy już jednego.“ — Król kazał więc dziadkowi, aby sobie jednego z nich wybrał; on zaś pozwolił królowi, aby sobie zostawił tego, który mu jest milszy; król dał mu młodszego. — Gdy wyszli za miasto i usiedli, dziadek pytał królewicza: „Cóż myślisz, jak dalekośmy też już od domu ojca twego uszli?“ — Młodzieniaszek rzekł: „Zda mi się jakie pół mili;“ — a dziadek powiada: „O ho! już to półczwartasta mil.“ — Czarnoksiężnik zaprowadził królewicza w gęstym lesie do zamku, w którym nikt nie mieszkał. — Tu rzekł: „Skoro się za róg tego stołu uchwycisz, co sobie zapomyślisz do jedzenia lub picia, zaraz będziesz miał; ja pójdę teraz na rok w świat, ty musisz tu co dzień izbę zamieść: masz oto klucze od zamku, ale do tych dwóch izb nie otwieraj.“ — Chłopiec bawił się przez ten rok w księgach i piśmie, czytał, pisał, izbę też każdy dzień zamiatał. — Za rok powrócił dziadek, właśnie gdy chłopiec jadł obiad: „Jak się masz, podoba ci się tu?“ rzekł dziadek; — chłopiec odpowiedział: „Dobrze i nic mi nie brakuje.“ — „No, to ja jeszcze pójdę na rok, ale jeno nie zapomnij izby co dzień zamiatać, a do tych dwóch izb nie otwierać.“ — I znowu poszedł. Chłopiec bawił się cały rok. — Za rok wrócił dziadek, i pytał go się jak wprzódy, ażali jeszcze na rok odejść może? — Chłopiec mu zaręczył, iż mu nic nie brakło, bo co chciał, to miał na stole, jak go za róg ujął. — Czarnoksiężnik odszedł więc znowu. — Chłopiec był już mądrzejszy, i myślał sobie: „Czemu też to dziadek nie da tych dwóch izb odmykać?“ — Odważył się i odemknął jednę izbę; tam znalazł wiele ksiąg, wszystkie przeczytał, ale izby zamiatać zaniedbał. — Otworzył potém drugą izbę, tam jeszcze więcéj ksiąg znalazł; ale też były między niemi i czarnoksięzkie. — Chłopak czytał je wszystkie, i na spodku jednéj doczytał się: że w tym zamku jest piwnica, w któréj są trzy konie zamknięte. Przeczytawszy to, szukał tak długo, aż natrafił na drzwi żelazne, które zaraz odemknął. — W stajni podziemnéj stały trzy konie, którym z gnoju tylko łby i grzbiety było widać. — Królewicz poszukał wideł i łopaty; a odgarnąwszy gnój od koni, wyrzucił go precz; znalazł i wiadro, doniósł im także wody. — Gdy to uczynił, odezwał się do niego jeden z koni: „Dziękujemy ci za posługę, którąś nam wyświadczył, dobrzeć uczyniłeś, ale z tobą źle będzie, gdy nas nie usłuchasz; gdyż jak tylko dziad powróci, zaraz o tem wszystkiem będzie wiedział, i ze złości zabije cię. Ledwo do zamku wnijdzie, będzieć się pytał: Jak się masz? — odpowiedz wtedy: Dobrze staruszku; ale zaraz co tchu na dwór uciekaj i stań się kobuskiem (1), a w tedy leć w świat.“ — Tak się też stało; ale dziadek przemienił się zaraz w dużego jastrzębia, i gonić go począł. — Kobusek gdy już był blisko zamku, w którym młoda królówna przy oknie otwartém się bawiła; przemienił się w pięknego gołębia, i wleciał do jéj pokoju. — Tam znów zaraz przemienił się w pięknego młodziana, i opowiedział jéj swoje niebezpieczeństwo, mówiąc: „Że w krótkim czasie dziadek przybędzie do niéj prosić o jałmużnę, i wtedy mógłby go zdradzić; ale stanę ja się ziarnkiem kaszy, ziarnko to proszę wrzucić do miski i wysypać z inną kaszą na ziemię na pastwę. — Dziadek się wtedy przemieni w koguta i zjadać będzie prędko kaszę, ja zaś skoczę na palec waszéj królewskiéj mości, i stawszy się pierścieniem uratowany będę.“

Dziadek wnet idzie po jałmużnę; królewna wystawia przed niego kaszę, on przemienia się w koguta i poczyna jeść chciwie. — Królówna nachyliła się, ziarnko skoczyło jéj na palec i miała pierścień. — Kogut zjadłszy co do ziarnka wszystkę kaszę, odezwał się i zapiał te słowa: „Niemasz go sam!“ — Na co królówna rzekła: „Obrzydły potworze, bodajże cię psy na kawałki potargały.“ — A zaraz po tych słowach ów pierścień w psa się przemienił i czarnoksiężnika poszarpał. — Z psa stał się znowu cudny młodzieniec; królówna chciała go u siebie zatrzymać, ale on udawał, że ma wielką podróż przed sobą; i podziękowawszy jéj, wrócił się do zamku w lesie, w którym owe trzy konie stały znowu w stajni podziemnéj, gnojem zawalone. — Gdy gnój wyrzucił, i gdy je wychędożył i napoił, stały się jeszcze daleko piękniejsze jak przedtém; — środkowy odezwał się wtedy do niego: „W ogrodzie stoją dwie kadzie przykryte, idź a umyj sobie

(1) Lud nasz nazywa mały rodzaj jastrzębi, które się za drobném ptastwem ubiegają: „kobuskami,“ albo „kłobuskami.“

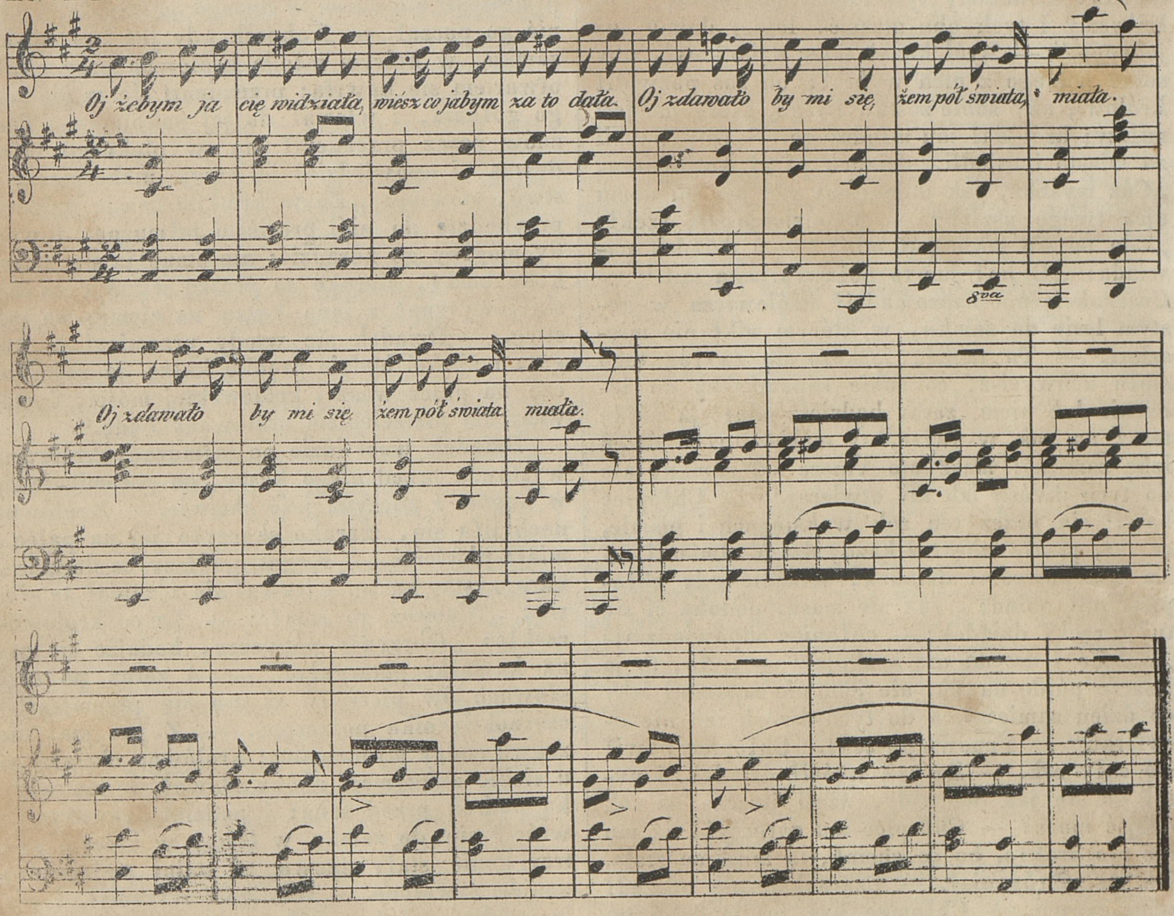
włosy swoje; w większéj: staną ci się złote; w mniejszéj zaś zmaczaj mały palec lewéj ręki, a będzie się świécić, jak złoty.“ — Gdy tak uczynił i ujrzał skutek, wrócił do koni; a trzeci z nich odezwał się znowu do niego: „Teraz zaś każdemu z nas osobno wyrwij jeden włos z ogona; skorobyś był w jakiéj ciężkiéj potrzebie, skrzesz ogień, zapal jeden włos, a z nas pomoc pewną mieć będziesz.“ — Królewicz uczynił co mu konie radziły, i puścił się w świat; — lecz aby nikt palca i głowy nie widział, obwinął go płatami. — Przyszedł do zamku pewnego króla i prosił, czyby u niego nie mógł znaleść jakiéj służby? — Król kazawszy go przed siebie przywołać, pytał go, dla czegoby miał głowę i rękę obwiniętą? — Młodzieniec odpowiedział: „Że jest na głowę i rękę kaleka.“ — Król przyjął go zatem na pomocnika do swéj kuchni, i kazał, aby go doktór nadworny leczył, ale o tém przykazie wnet wszyscy zapomnieli.

Gdy jednego razu ten król, mając trzy córki, do kościoła pojechał, wziął ze sobą dwie, a najmłodszą zostawił w domu. — Ponieważ to było podczas lata, oddany był więc ten młodzieniec ogrodnikowi, aby mu za stróża służył w ogrodzie; a że był ciągle z zawiązaną głową i ręką, dla tego nazywano go tutaj *Paprzycą* (2). — Ogrodnik przeto jadąc z królem do kościoła, przykazał Paprzycy, aby prosa w ogrodzie przed ptastwem pilnie strzegł.

(Dokończenie nastąpi.)

(2) Paprzyska na głowie znaczy prawie to samo co łupieże. Obacz słownik Lindego,

№145. KRAKOWIAK. *Od Wieliczki.*



Text do Nru. 145.

Oj żebym ja cię widziała, wiesz, co ja bym za to dała,
Oj zdawałoby mi się, żem pół świata miała.
Oj pocóż, pocóż mnie miłość, oj tak bardzo pokochała,
Oj kiedym niewierności w chłopczynie doznała.
(*Wacł. z Oleska*, P. l. g. str. 127.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor Dr. *Szymański*.)